

„Praktyczne pytanie. Nowicjuszowi trudno się nauczyć tak wielu prostych rzeczy, które z łatwością przychodzą ludziom doświadczonym. Jeśli trochę się zakrztusi, do końca zapomni o rozpamiętywaniu problemów wiary. Picie w adwencie i zabijanie drzew znieczulonych mrozem. Co jest grzechem, a co nie? Dla rozumnego człowieka ani jedno, ani drugie nie powinno mieć znaczenia. Dla kogoś, kto jest odizolowany od realnego życia, obydwie te czynności są przyczyną do zadawania pytań niezbędnych dla naruszenia powłoki, pod którą kryje się nagość. Będę dobrym bliźnim. Powiem, aby pił ostrożnie, małymi łyżkami. Porcję niech podzieli na dwie części. Jeśli tego nie zrobi, może się upić ćwiartką bimbru. Jest słabszy niż miejscowa kobieta”.

Po zapadnięciu zmroku, ze względu na mróz i otaczający leśną polanę marazm, zapasy samogonu i razowego chleba zostały uzupełnione.

* * *

AMERYKANIN czuł się fatalnie. Nadwyreżone mięśnie i ścięgna nie pozwalały o sobie zapomnieć. Na dodatek miał kaca. Stan homeostazy organizmu został zakłócony. Pozostawanie w pozycji leżącej było bardzo niewygodne. Dochodziły do tego nudności i narastająca z każdą minutą migrena. Chodził po izbie, cicho pojękując. Odmówił zjedzenia śniadania. Już na samą myśl o jajecznicy na skwarkach robiło mu się niedobrze.

Słowa wypowiedziane przez Rosjanina sparaliżowały go:

— Za pół godziny wychodzimy do tajgi. Powinieneś coś zjeść.

— Czuję się fatalnie i nigdzie się nie wybieram.

— Wypij surowe jajko, to ci pomoże.

- Nie słyszałeś, co mówiłem? Jestem chory.
- Tylko niedysponowany. To minie.
- Odnoszę wrażenie, że zaraz wyzionę ducha.
- Nie wyglądasz na umarlaka.
- Masz jakieś lekarstwa?
- Jestem lokalnym medykiem i potrafię przeprowadzić kurację większości pospolitych niedomagań.
- Więc mi pomóż.
- Wypij surowe jajko.
- Oszalałeś?
- Zaufaj mojemu doświadczeniu.

Głęboki wdech miał pomóc w spożyciu kurzego jaja. Zatkanął nos i zmusił się do przełknięcia lepkiej substancji. Najbardziej ohydne okazały się, utrzymujące żółtko grube nici zągęszczonego białka oblepiające gardło. Chciał się ich pozbyć, ale nie udało się. To przyspieszyło proces terapeutyczny. Nie przypuszczał, że w żołądku można zgromadzić aż tak dużą ilość brązowego płynu. Kiedy już wyrzucił z siebie wszystko, ksiądz podał mu szklankę wypełnioną w jednej czwartej lekko opalizującą cieczą. Powiedział, że jest to idealny na alkoholową przypadłość medykament. Miał rację. Przybysz dziwił się, że parę łyków bimbrowa nie spowodowało nawrotu odruchu wymiotnego. Wprost przeciwnie. Dolegliwości znacznie się zmniejszyły. Poczul głód.

„Nie musiałem wiele robić, aby go przekonać. Dzisiaj już przestanie mnie osądzać. Zacznie oceniać siebie. Zauważy sztuczność własnej postawy i automatyzm postępowania. Choć niebawem powróci do starej formy, następny drobny krok jest we właściwym kierunku. Po paru tygodniach będzie w stanie dostrzec to, na czym naprawdę mu zależy. Zobaczy obraz samego siebie. Na razie muszę postępować tak, aby mi zaufał. Jeśli stanie się konieczne, aby popchnąć go do określonego działania, będzie mi łatwiej”.

Po sześciu dniach pracy nadszedł dzień wypoczynku. Postać niedawnego podróżnika upodobniła się do wyglądu tubylców. Ogorzała skóra, twarde, pokryte licznymi odciskami dłonie i chód, przy którym tułów buja się w rytm stawiania kroków. Wszystkie wykonywane przez niego czynności były naśladowaniem tego, co robił gospodarz. Czyszczenie ubrania i obuwia, układanie mokrych rzeczy na piecu, picie gorącej herbaty przed kąpielą, nacieranie ciała oliwą.

Szybko doszedł do wprawy.

Konstanty wyjaśnił gościowi, że jako kapłan jest zobowiązany do odprawiania codziennej mszy świętej. Przed świtem wymyka się do kościoła, aby celebrować Akt Podniesienia. Jak dotąd nie proponował mu uczestnictwa, ale jeśli chce, może czuć się zaproszony. Różnica będzie taka, że zamiast dziesięciu minut, spędzą w świątyni nieco dłużej, co wiąże się z dodatkową modlitwą wiernych.

Propozycja została przyjęta.

W niedzielę, pomimo święta, na terenie parafii nie zdarzyło się nic szczególnego. Budynek z krzyżem nad wejściem odwiedziło dwóch mężczyzn. Mimo, że na lekko zmurszałej desce widniał wypalony napis mówiący o cotygodniowym obrządku, nikt z osady nie pojawił się. Tym razem również starowiny pozostały w domach. Usprawiedliwieniem był spadek temperatury poniżej pięćdziesięciu stopni w skali Celsjusza.

„Niebawem przyjdzie dzień, w którym zaczniesz porównywać swoje obecne życie z tym, co miał w kraju dobrobytu. Przepych supermarketów z kapuśniakiem na skórcie od słoniny i kraszonymi smalcem ziemniakami. Ponownie poczujesz się człowiekiem z lepszego świata. Niedawne, negatywne samooceny zostaną odrzucone. Wzrośnie poziom

niezauważalnej jeszcze pychy. W tym okresie parokrotnie powróci zamysł kontynuacji wyprawy do Jerozolimy i Betlejem. Podniecenie wypali się szybko, jak ognisko zrobione ze słomy”.

Mróz zelżał we wtorek. Inżynier-konstruktor z niesmakiem popatrzył na brudny wacik okrywający ciało księdza. Sam musiał wyglądać podobnie. Dwie postacie przypominające kloszardów północy, którzy właśnie wypęzli ze śmietnika.

— Jak długo będziemy jeszcze pracować w lesie? – zapytał rzeczowo.

— Kolejne pięć dni.

— Po czym pomożesz mi w uruchomieniu samolotu?

— Najpierw przygotujemy święta.

— Nie jestem twoim więźniem.

— Nie jesteś. Możesz robić, co ci się podoba.

— Masz moralny obowiązek udzielenia mi wsparcia.

— To, co na pewno muszę, to przygotować Boże Narodzenie w kościele. Moja służba jest na pierwszym miejscu. Reszta potem.

— Właściwie to nie rozumiem, dlaczego czepiam się ciebie jak rzep psiego ogona. Sam sobie poradzę.

— Co takiego zrobisz? – zadane z niedowierzaniem pytanie niejednego mogło zbić z tropu. Ale nie kogoś, kto ma mózg konstruktora. Odpowiedział, cedząc słowa:

— Jutro pójdę do osady.

— Aby odbudować płożę, potrzebny ci dobry kowal, a ten akurat od dzisiaj, wraz z nami ścina drzewa. Musisz czekać.

— Jak długo?

— Co najmniej do dnia, w którym tartak przestanie składać zamówienia.

— Ścisły umysł natychmiast znalazł, wydawałaby się, racjonalne rozwiązanie:

— Mogę zaproponować kowalowi równowartość jego miesięcznych zarobków, jeśli tylko wyjdzie z tajgi i podejmie się naprawy uszkodzonej płozy. Płacę dolarami.

— Spróbuj.

— Pokażesz mi, który to jest?

— W odpowiednim czasie.

„Czemu nie powiedziałem mu, że kowal nie zgodzi się? Nie może przerwać pracy w lesie, ponieważ przy następnym naborze zostałyby pominięty. Zielone dolary nie są tego warte. Nic nie jest warte wypchnięcia na margines. Szczególnie w jego przypadku. Zdaje się, że ma on dość własnych kłopotów. Kiedy obcy usłyszy odmowę, kolejna warstwa pancerza zostanie skruszona”.

Ogłoszono podwójną stawkę dla śmiałków, którzy pójdą w głąb tajgi i zetną kilka dużych modrzewi. Wyprawa na cały dzień. Zgłosił się kowal, zaraz po nim cudzoziemiec, do których, nie mając wyboru, dołączył proboszcz. Gościnność to także odpowiedzialność za ludzi, których przyjmujesz pod swój dach.

Rzemieślnik był siłaczem, duchowny doświadczo-
nym traperem, zaś Amerykanin głupcem. Teoretycznie rzecz biorąc, pierwszy szedł, aby zarobić więcej, drugi z obowiązku, trzeci zaś, ponieważ miał nadzieję, że dogada się z pierwszym w sprawie naprawy maszyny. Prawda była nieco inna. Kowal czuł, że jest prowadzony. Ktoś za niego planował działania, zaś on posłusznie realizował kierowane do podświadomości polecenia. Mógł zaprotestować, ale wówczas na zawsze pozostałby w zaklętym kręgu wspomnień. A tym był już bardzo zmęczony.

Modrzewie rosy w dolinie. Dostali dwie dorodne klacze i sanie z dodatkowymi płozami do transportu pni.

— Po co tam idziesz? – zwrócił się do kowala ksiądz.
– Potrzebujesz więcej gotówki?

— Tak ma być – odpowiedział dość dziwnym głosem.

— Gdybyś mógł być trochę mniej tajemniczy...

— Nie mógłbym. Nie mam ochoty na rozmowę. Muszę coś przemyśleć.

— Coś ważnego?

— Dla mnie bardzo. Proszę, daj mi spokój.

Konie szły wolno. Po każdym wydechu, tuż przed chrapami pojawiały się białe obłoczki, które szybko znikwały w przepelnionym zapachem żywicy powietrzu. Temperatura podniosła się do minus dwudziestu stopni Celsjusza. Mróz nie był już tak dokuczliwy. Prognoza pogody mówiła o nadchodzącym niżu, który miał przynieść opady śniegu i dalsze ocieplenie.

Kowal siedział nieruchomo, zatopiony w myślach. Sądząc po jego zachowaniu, sprawa musiała być poważna.

Po godzinie dotarli do celu. Szeroki na kilkadziesiąt metrów pas modrzewi rozciągał się na przestrzeni wielu kilometrów. Były one jedynymi drzewami w tej okolicy tajgi, które zostały zasadzone ręką człowieka. Bliższe sto lat temu, takie właśnie zadanie mieli odbywający karę zesłańcy. Większość drzewostanu północnych lasów środkowej i wschodniej Azji stanowią właśnie modrzewie. Ogromne połacie otaczających osadę, rosnących praktycznie w monokulturze świerków, są ewenementem. Z braku innego zajęcia, grupa skazańców została wysłana po sadzonki, które znajdowały się ponad pięćdziesiąt kilometrów od obozu pracy. Mieli szczęście, że na takim pomysle naczelnik łagru zakończył odkrywanie swojej kreatywności. Jedna z wielu, dziwna etykieta rosyjskiej przeszłości.

Pragnący kontynuować swoją wycieczkę turysta, próbował załatwić remont samolotu. Pomimo dużego honorarium, jakie zaproponował, rzemieślnik zdawał się nie być zainteresowany propozycją. Obcy, nie znając realiów krainy, w której przyszło mu się zmagać z losem, był przekonany, że nie został dobrze zrozumiany. Zdecydował, że ofertę przedstawi raz jeszcze, w bardziej sprzyjającym momencie.

Po zejściu z sań, zaczęli głęboko zapadać się w puszystym śniegu. Musieli szukać innego miejsca, gdzie pokrywa białego puchu była mniejsza. Skierowali się na północ. Po kolejnych trzydziestu minutach wjechali na sporą polanę z rosnącym na jej środku kilkusetletnim dębem. Ścianę lasu stanowiły modrzewie. Wyznaczyli stanowiska pracy i już po pięciu minutach słychać było rytmiczne odgłosy siekier raniących zdrewniałe tkanki.

Sześć dorodnych pni, po odcięciu konarów, po kolei wciągano na połączone sanie. Prymitywny, łańcuchowy dźwig nieprzyjemnie wypełniał okolice dźwiękami nienaoliwionych mechanizmów. Dwa zębate, zakończone korbami koła, musiały być obracane jednocześnie z taką samą prędkością. Z jednej strony pracował właściciel kuźni, z drugiej zaś dwóch pozostałych ochotników. Ostatni modrzew był już na miejscu, gdy usłyszeli przeciągłe wycie. Klacze zaniepokoiły się. Zaczęły głośno parskać, niecierpliwie uderzając kopytami w podłoże. Do zmroku pozostały jeszcze dwie godziny, w ciągu których muszą dotrzeć do bazy. Jeśli im się nie uda, będą mieli kłopoty.

Byli gotowi do drogi, kiedy niespodziewanie zaczął padać śnieg. Duże, białe krupy wypełniły całą okoliczną przestrzeń, ograniczając widoczność do kilku metrów.

Ksiądz podciął konie, które napięły mięśnie, próbując pójść do przodu. Jednakże, zamiast położyć się

w uprząży, by masą własnego ciała zniweczyć bezwładność opartej na płozach konstrukcji, stanęły na tylnych nogach, rżąc głośno.

— Za duży ciężar – stwierdził kowal.

— Będziemy pchać – dodał duchowny – musimy ruszyć. Dalej pociągną same.

Płozy drgnęły. Przesunęły się nieco do przodu. Druga próba nieomal zakończyła się sukcesem. Nie pojechali jednak dalej. Zwierzęta odmówiły posłuszeństwa. Zachowywały się tak, jakby czegoś się bały. Wykonywały nerwowe, nieskoordynowane ruchy. Raz po raz stawały dęba, machając przy tym przednimi nogami, jakby broniły się przed niewidzialnym przeciwnikiem. Parskały, wyrzucając z nozdrzy coraz to nowe kłęby pary.

Nagle przez zasłonę opadających dostojnie śniegowych płatów dostrzegli szare cienie, które jeden za drugim wkraczały na polanę. Bez pośpiechu, z opuszczonymi ogonami, okręzały grupę ludzi, zajmując pozycje co kilka metrów. Kiedy osiągały przypisane im miejsce, siadały na śniegu ze wzrokiem skierowanym na sanie. Grupa mięsożernych ssaków odcięła im drogę ucieczki. Konfrontacja była nieunikniona.

„Są rzeczy, których nie da się przewidzieć. W szczególności dotyczy to zdarzeń, które są zbyt mało prawdopodobne, aby mogły zaistnieć w naszym życiu. Myśliwi wytrzebili zagrażające osadzie wilki. Te musiały przyjąć z daleka. Mamy spore szanse, by przeżyć. Po pierwsze trzeba poświęcić konie. Puścić je wolno. Uciekając, sprowokują głodne drapieżniki do pościgu, ludzi zostawiając w spokoju. Dogonią i zagryzą jednego z nich. Mięsa wystarczy dla całej watahy. Po drugie, trzeba pilnować cudzoziemca, aby nie wpadł w panikę. Nigdy nie był w takiej sytuacji. Logika nie może nas opuścić ani na chwilę”.

Łańcuchy odpięte z orczyków uświadomiły zwierzętom, że opiekunowie puszczają je wolno. Dwie gniade, wystraszone klacze pocwałowały z ogromną prędkością, znikając w zaroślach lasu. Przebiegły między siedzącymi nieruchomo czworonożnymi zabójcami. Ci jednak nie ruszyli w pościg.

Wbili siekiery w korę dębu. Mniej więcej co pół metra. Opierając na nich stopy, sięgnęli do najniższej rosnących gałęzi. Tymczasem byli bezpieczni.

Drapieżniki zacieśniły krąg. Siedziały na śniegu, czekając.

Pomruki dochodzące z dołu nie napawały optymizmem. Wykorzystując konopne liny, przywiązali się do grubych konarów. Kowal zwrócił się do księdza, używając lokalnego narzecza. Nie chciał, aby nieznajomy rozumiał, co mówi:

- Chcę się wypowiedzieć.
- Tu i teraz?
- Zrobiłem rachunek sumienia.
- Nasze położenie nie jest najlepsze, pomimo to sądzę, że z tego wyjdziemy.
- Nie znasz przyszłości.
- To prawda.
- Powiem moje grzechy. Jest tego trochę.
- Kiedy ostatnio przyjmowałeś sakrament pojednania?
- Dawno temu.
- Jak dawno?
- Miałem wówczas dwadzieścia kilka lat.
- Czy aby na pewno jesteś dobrze przygotowany?
- Jestem.

Znak krzyża zawisł w powietrzu. Potężnie zbudowany penitent nachylił się do ucha spowiednika. Opisywał kolejne lata swojego życia. Dokładnie i metodycznie. Bez pośpiechu. Występek, którego się dopuścił, odbycie kary, życie na Syberii i związane z tym niedociągnięcia.

Słabości prowadzące do grzechów i zaniedbania w wierze. Pół godziny nie wystarczyło, aby powiedzieć wszystko. Nauka była krótka. Musi żałować i mieć silne postanowienie poprawy. Przeprosić i uwierzyć, że Miłosierdzie większe jest od panującego wokół zła. Proboszcz udzielił rozgrzeszenia i zatopił się w medytacji. Obaj rozmawiali z Wszchemogącym. Obydwaj po rosyjsku, lecz każdy inaczej. Duchowny prosił o łaskę, zaś kowal dziękował za daną mu nadzieję.

Głośno wypowiedziane zdanie ocuciło drzemiącego Amerykanina:

- Mam nadzieję, że jest ci lżej.
- Zrzuciłem duży ciężar.
- Powiedz coś więcej.
- Chyba nadchodzi mój koniec.
- Skąd takie przeświadczenie?
- Czuję.
- Czujesz, że niebawem umrzesz?
- Dostałem szansę.
- Nazywasz to szansą?

— W zeszłym tygodniu podkuwałem konia. Była to stara, pracująca w tartaku szkapa. Spokojna i obojętna na to, co się wokół niej dzieje. Czyściłem właśnie kopyto, gdy jeden z rozżarzonych węgli eksplodował. Widocznie w środku kamienia znajdował się kawałek skały, który rozsadził bryłę. Rozpalony do białości odłamek wyładował w gęstej grzywie. Zostałem dosłownie wyrzucony w powietrze uderzeniem końskich kopyt. Kiedy wylądowałem na podłodze, nade mną szalało rozjuszone zwierzę. Koń tłukł kopytami gdzie popadło, niszcząc sprzęty znajdujące się w kuźni. Mnie jednak nic poważnego się nie stało. Parę siniaków i zadrapań. Niespodziewanie znalazłem się obok wiadra z wodą. To pozwoliło na opamiętanie sytuacji. Rana na szyi zwierzęcia była rozległa,

ale niezbyt głęboka. Ostatecznie udało mi się zamocować nowe podkowy.

— To może się zdarzyć.

— Widziałeś wewnątrz mojej kuźni. Nie ma tam ani skrawka miejsca, gdzie nie byłoby metalowych narzędzi, gwoździ, podków czy materiałów produkcyjnych. Powiniennem nadzieć się na niebezpieczny przedmiot, a przede wszystkim wielokrotnie oberwać od robiących spustoszenie kopyt.

— Miałeś szczęście.

— To nie było szczęście. To był znak. Powiniennem go dostrzec, a ja go zlekceważyłem. Drugi znak był mi dany przedwczoraj. Przywiozłem drwalom świeżo naostrzone siekiery. Pierwsze ze ścinanych przygotowanym przeze mnie narzędziem drzewo, zbliżając się do ziemi, nagle zmieniło kierunek. Stałem jak słup soli, na linii upadku, nie mogąc się ruszyć z przerażenia. Chciałem uciekać, lecz nie zrobiłem nic. Sparaliżował mnie strach. Czekałem na śmierć. Świerk osiągnął podłoże z wielkim hukiem. Odbił się od śniegu, uniósł się na wysokość metra i przekręcił o kilkadziesiąt stopni wokół własnej osi. Znalazłem się pomiędzy konarami. Nie zostałem muśnięty najmniejszą gałązką. Jedyne, co poczułem, to podmuch wiatru.

— To doznania, jakie towarzyszą bezradnemu, samotnemu człowiekowi. Może chodziło o to, byś je poznał?

— Miałem zrozumieć, że ode mnie niewiele zależy? Incydent w kuźni wydarzył się cztery dni temu. Ten w lesie po kolejnych dwóch dniach. Dzisiaj ponownie wystąpię w głównej roli. Do trzech razy sztuka.

— Czy dlatego zgłosiłeś się, aby pójść po modrzewie?

— Jak to zgłosiłem się?

— Na ochotnika.

— Myślałem, że zostałem wyznaczony.

- Nie zostałeś.
- To kolejny dowód na to, że to nie przypadek.
- Wmówiłeś sobie to wszystko.
- Znasz mnie od lat. Jestem mocnym facetem. Daleko mi do ucieczki w nierealny świat.
- Samotność potrafi płatać różne figle.
- Gdy wyprzęgliśmy konie, wilki za nimi nie pobiegły. To nie jest normalne. Siedzą wokół drzewa i czekają. Na mnie.
- Nie wywołuj... – słowa utknęły mu w gardle. On właśnie wywołał drapieżne bestie z lasu. Duchowny dopuszczał trafność spostrzeżeń kowala. Stopniowo zaczynało do niego docierać, że w ciągu najbliższych minut, przedstawiony przez siłacza scenariusz wejdzie w fazę realizacji.
- Nadeszła pora wyrównania rachunków. Prosiłem, aby mój koniec nie był dla mnie zaskoczeniem. Jeśli mam pożegnać się z tym światem, chciałbym, aby było to podczas walki. Z honorem.
- Jak gladiator?
- Jak mężczyzna.
- Zdołałeś pojednać się sam ze sobą. To wspaniały prezent od losu. Zazdroszczę ci.
- Tego, że wkrótce umrę?
- Wiesz, co masz robić. Nie to, co ja.
- Zaskakujesz mnie.
- Co powinienem uczynić, kiedy znajdziesz się na dole?
- Nic. Obejrzyj spektakl.
- Mam tu siedzieć spokojnie i patrzeć jak cię rozszarpują?
- W ostateczności możesz zamknąć oczy. Ale nie rób tego. Na pewno w osadzie będą pytać o szczegóły. Co im wtedy powiesz?